№ 47.

Warszawa, dnia 19 Listopada 1854 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).—**W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.—Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

OBRAZY CEJLANU.

Żadna może z dalekich krain, w których chciwy wrażeń podróżnik, idzie szukać całkiem nowych dla niego obrazów, nie tchnie tak potężnym i dziwnie tajemniczym urokiem, jak piękna wyspa Cejlan. Wdzięczne bogactwo przyrody przybrało tam cechę jakąś odrębną, i rzecby można, iż na téj cienistéj wyspie zdobnéj w najpyszniejsze drzewa i krzewy, wszystko się składa na wprowadzenie wyobraźni w stan rozkosznego upojenia, będącego jakby pół senném zachwyceniem. Miasta tamtejsze, to gaje urocze; takiém jest Colombo, którego domy kryją się pośród lasu złożonego z drzew widywanych w Europie po cieplarniach tylko i to w zdrobniałych rozmiarach. Jest to niby ogród prześliczny, w którym żyje, wybierając sobie najcienistsze ustronia ludność złożona z Cyngalizów, Malabarów, Maurów i Malajczyków. Zaprawdę, ludzie ci, którym życie upływa w chłodnym cieniu téj cudownéj zieleni, których piersi oddychają powietrzem napojoném wonią, zaznali rozkosz raju na ziemi, i nie mają nic do pozazdroszczenia w swojém niby ubóstwie i barbarzyństwie, wytwornemu zbytkowi dogadzającemu niezliczonym potrzebom cywilizowanych narodów.

„Na téj cienistéj wyspie, opowiada zwiedzający ją podróżnik, światło zdaje się zawsze jakby lekkim zmrokiem przyćmione, powietrze przejęte jest tam elektrycznością, ztąd częste błyskawice oświetlające chwilowo góry okoliczne i rozjaśniające tajemnicze głębie rozpadlin na wpółosłonione bujną roślinnością. Często huk dalekiego grzmotu przerywa ciszę tych uroczych samotni jako zapowiednia straszliwéj burzy, lub téż budzi wędrowca z jego marzenia ponury odgłos tam-tamu czyli bębna bonzów, rozlegający się po lesie; zdarza się bowiem nieraz, iż po miejscach z pozoru najniedostępniejszych, kryją się tajemnicze świątynie, w których obrzędy buddhyzmu zachowały całą swoją pierwotną dziwaczność. Jeśli wiedziony ciekawością podróżnik zapuści się idąc po za tym od-

głosem stromą ścieżyną wijącą się kręto pod gęstą osłoną z zieleni, przez którą niepotrafią się nigdy przecisnąć promienie słoneczne, ujrzy nareszcie przed sobą schody prowadzące do świątyni całkiem pierwotnéj budowy, a wszedłszy do niéj, znajdzie się pośród cichego przybytku napojonego wonią najrzadszych kwiatów, otaczających olbrzymią postać Buddhy, wykutą w skale w postaci stojącego lub leżącego człowieka. Potworne to wyobrażenie pomalowane jaskrawemi barwami zajmowało całą szerokość świątyni którą zdarzało nam się odkryć w ten sposób w naszych wycieczkach, bowiem Buddha przedstawiał się tam w spoczynku. Jedyna światłość jaka rozwidniała nieco ciemnię świątyni, pochodziła od lampy nalanéj olejem kokosowym.

Przy jéj świetle ujrzeliśmy spokojne i poważne postacie snujące się powolnym krokiem, odziane w żółte powłóczyste szaty. Byli to bonzowie, czyli kapłani oddani czci Buddhy, w tym jego przybytku. Głowy ich były wygolone, cerę mieli miedzianéj barwy. Wyraz uprzejméj gościnności, rozjaśnił nieco surowe ich oblicza, skoro nas ujrzeli. Zajęli się zaraz naszém przyjęciem, przynosząc nam jedzenie czysto sporządzone, składające się wyłącznie z warzywa. Tymczasem dzieci wychowane w tych świątyniach przypominających nieco klasztory, otoczyły nas uprzejmie, starając się oddawać nam rozmaite usługi. Jedne poruszały przed nami wachlarze, lub podawały wyborną wodę, drugie roznieciwszy ogień z suchych gałęzi, robiły bardzo zręcznie cygara ze świeżo zerwanych liści w otaczającym nas ogrodzie, skręcając je szybko i podsuszając przy ogniu. Inne podawały nam betel i trzcinę cukrową, lub też częstowały jakimś osobliwszym owocem o którym ani słyszeliśmy nigdy. Jeden z tych chłopaków, zobaczywszy że mi się włosy nieco rozrzuciły, podał mi mały grzebyk bardzo poważnie i niemówiąc ani słowa, wszystko tu bowiem odbywało się w najuroczystszém milczeniu. Owi kapłani, przebywający w głębi lasów przechowują tam cnoty rodzinne Cingalisów, pierwotnych mieszkańców wyspy, do których szczepu należą. Nauczają dzieci które wychowują w łagodności i miłosierdziu, rozwijając w nich zamiłowanie do skromnego i spokojnego życia

Ludzie zamieszkujący w téj czarownéj krainie odznaczają się szlachetnością rysów i niewypowiedzianym wyrazem prostoty i słodyczy. Wzrost ich jest wysoki, budowa ciała kształtna, rysy pełne wdzięku, włosy mają bujne i czarne jak heban spływające w pierścienie na ramiona miedzianéj barwy, lub też zaplecione w gruby warkocz założony w węzeł z tyłu głowy. W ogóle włosy stanowią ozdobę wielce cenioną u Cingalisów, którzy wielkie mają o nich staranie. Całe ich ubranie stanowi kawał tkaniny białéj, czerwonéj, lub różnobarwnéj, którym obwija ciało od pasa w sposobie kształtnéj draperyi; piersi i ramiona pozostają zupełnie obnażone.

Niekiedy wieczorem, dziwaczne i różnorodne odgłosy przerywają uroczą ciszę tych samotni, ostre dźwięki tybetańskiego oboju mięszają się z donośnym głosem tamtamu, to processja przenosząca nabożnie relikwie Buddhy z jednéj świątyni do drugiéj. Przy czerwonawym blasku pochodni których dym napełnia powietrze pogrzebową wonią, strwożony wzrok podróżnika widzi fantastyczny pochód podobny mniéj do jawy jak do sennego marzenia. Słonie przybrane ozdobnie niosą święte szczątki po nad któremi unoszą się bogate baldachiny. W około nich postępuje poważnie tłum czcicieli Buddhy. Twarze ich smutne, przybierają od niepewnych blasków które na nie padają, chorobliwą barwę i wyraz dziwnie ponury. Wszyscy zachowują milczenie; tylko głośny tam-tam walczy o lepsze z głosem dzwonów i narzędzi muzycznych różnego rodzaju. Zaledwie oko zdołało się oswoić z tém dziwném zjawiskiem, gdy nagle znika, zagłębiwszy się w ciemne gąszcze lasu i zostawiając po sobie wątpliwość czy nie było złudzeniem rozgorączkowanéj wyobraźni. Ale nie, to była żywa rzeczywistość; niebawem dźwięki zbliżają się znowu, i dziwaczny pochód ukazuje się powtórnie, wracając z odbytéj pielgrzymki do świątyni z kąd wyszedł. Słoń przodujący drugim staje na schodach przybytku, i bonzowie zdejmują zniego święte relikwie, by je złożyć na ołtarzu, zdobnym w klejnoty rozmaitego rodzaju; z tych niektóre zadziwiają osobliwym swym kształtem; są to dary Radżów Indyjskich z różnych epok, zalecające się bardziéj dziwacznością i ilością użytego do nich złota, jak wytwornością wyrobienia.

Niechcieliśmy opuścić tego zakątka ziemi bogatego w tak dziwne uroki, bez uzupełnienia skarbu wspomnień wycieczką do klasztoru brahminów słynnego na całéj wyspie. Gościnność krajowców podała nam wszelkie ku temu ułatwienia. W pewnéj odległości od klasztoru spotkały nas dwa słonie okryte czerwonemi klapami z licznym orszakiem krajowców, na czele szli brahminowie trzymając w ręku liście palmowe oraz tancerki indyjskie pląsające przy odgłosie trąb i cymbałków. Cały ten obraz odbijał cudownie od zielonéj murawy i ciemnego tła drzew palmowych.

Zaledwie wysiedliśmy z palankinów, otoczyli nas brahminowie i poczęli przystrajać w kwiaty

prześlicznéj woni, które z sobą mieli. Uwieńczyli nam skronie, opletli ręce i szyje przygotowanemi ku uczczeniu nas wieńcami, poczém cały orszak zabrawszy nas z sobą udał się ku świątyni i w krótce znaleźliśmy się w jéj przysionku pomiędzy dwoma rzędami wysokich kolumn, z których każda miała kształt jakiegoś potwornego smoka, węża lub bajecznego gada. Przygasające blaski zachodu rzucając niepewne światło na te dziwaczne postacie, uzupełniały fantastyczność obrazu, tak że zdawało się nam wstępować w jakiś świat nieznany i straszliwy, i miéć już przed sobą potwory zamieszkujące tajemnicze jego otchłanie. Niebawem jednak zbudziła nas znowu rzeczywistość także nie do pogardzenia: znajdowaliśmy się w samém wnętrzu świątyni mogąc oglądać jéj bogactwa które nam, brahminowie pokazywali uprzejmie. Były tam dziwaczne ptaki z rozwiniętemi do lotu szkrzydłami, naszyjniki, naramienniki, wszystko to niezgrabnie wyrobione w ciężkich bryłach złota i zdobne pysznemi kamieniami zupełnie z gruba tylko szlifowanemi i równie pierwotnie osadzonemi; wszakże mnogość tych klejnotów była niesłychana. Szczególnie odznaczał się bogactwem palankin w którym jest zwyczaj obnosić bożyszcza podczas uroczystych obrzędów; widzieliśmy též słonie, byki i konie ze srebra, wysokie przynajmniéj na dwie stopy, służące tylko po prostu za ozdobę w świątyni. Do niektórych jednak części przybytku niedozwolono nam wstępu, znać odbywały się w nich jakieś obrzędy tajemnicze, od czasu do czasu wytryskały z tamtąd odgłosy trąb kapłańskich, i wybiegały promienie światła, ilekroć milczące postacie wstępujące w te tajemnicze ustronia, uchylały ich zasłonę.

Powrót nasz odbywał się w sposób równie uroczysty. Tańce i muzyka nie ustawały podczas pochodu; tancerki jednak nie odznaczały się pięknością, chociaż wszystkie były bardzo młode. Było tam nawet małe dziewczę mające zaledwie lat dziesięć, grające na jakimś instrumencie wyrobionym z kokosowego orzecha, a którego dźwięki przypominały kwilenie dziecięcia; widocznie mała artystka nie umiała jeszcze władać nim jak należy, idąca bowiem obok niéj matka istna czarna czarownica nie przestawała gromić jéj surowo i potrącać nielitościwie, gdy tymczasem dziewczyna wykrzywiała się najprzeraźliwiéj, niewiadomo czy towarzysząc muzyce, czyli po prostu ze strachu.

Podczas naszéj bytności w Colombo, byliśmy świadkami uroczystéj processyi która się odbyła wewnątrz świątyni, wielce starożytnéj znajdującéj się w pobliżu. Tysiące pochodni przyświecało temu obrzędowi, oświetlając fantastyczne kształty obszernego przybytku, na przystrojenie którego składała się dziwaczna fantazya mnogich pokoleń. Tu znowu zdało nam się tracić z oczu świat rzeczywisty, skoro ujrzeliśmy, jaśniejące olśniewającym blaskiem wśród téj powodzi światła, bożyszcze wyrobione jak nam powiadano ze srebra i pozłocone, unoszące się w swych olbrzymich rozmiarach po nad tłumem, zaprzężonym do rusztowania, na którém było ustawione. Dźwięki najosobliwszéj i najnieharmoniczniejszéj muzyki, towarzyszyły religijnemu pochodowi. Dla uzupełnienia potwornéj dziwaczności obrazu, należy dodać że muzykanci jechali na krowach. Obnoszono naprzód bożyszcze wewnątrz świątyni, potém dokoła jéj obszernych dziedzińców; wreszcie processja wyszła przez ogromną bramę, po nad którą wznosiła się olbrzymia wieża z granitu. bogato rzeźbiona, która, jak mi powiadano, liczyła parę tysięcy lat wieku. Pochód przeszedł po ulicach miasta przy blasku pochodni, pośród tłumu, któremu przodowali brahminowie, przy szalonych okrzykach i dziwacznych odgłosach muzycznych narzędzi. Od czasu do czasu pękały race w około świętego bożyszcza, i wtedy padali przed niém na ziemię wyznawcy w nabożném uniesieniu; wreszcie cały orszak przeciągnął z wolna i przepadł gdzieś w dali w cieniach nocy, dźwięki słabły coraz bardziéj, aż wreszcie zamilkły, gasnąc zarazem z blaskami oddalających się świateł, a w około nas pozostała tylko wonna cisza nocy i urocze wspomnienie czarodziejskiego widzenia.

W jednéj z wycieczek naszych, w lasach otaczających Colombo, zdarzyło nam się natrafić na niską chatkę, ukrytą wśród gęstwiny. U wejścia stała kobiéta malaburska dość wdzięcznéj postaci i kilku mężczyzn. Z tych jeden siedział przed skrzynią, z któréj coś dobywał, i pilnie przepatrywał. Gdyśmy się zbliżyli zwabieni wdziękiem obrazu, jaki tworzyła ta gromadka na tle z ciemnéj zieleni roztaczającéj się po za chatkę, spostrzegliśmy w rękach siedzącego Malabarczyka rozmaite ozdoby i klejnoty ze szkieł różnobarwnych, poobsadzanych w drzewie złoconém lub jaskrawo malowaném i powykrawaném w dziwaczne kształty; były tam potwornéj wielkości kolczyki, naszyjniki, naramienniki, maski osobliwego rodzaju, ubrania na głowę, niby smoki lub ptaki jakieś fantastyczne. Przy bliższém poznaniu się z mieszkańcami chatki, dowiedzieliśmy się, że należała do bayadery malabarskiéj i jéj towarzyszy. Uradowani naszém odkryciem, zamówiliśmy sobie przedstawienie dramatyczne, na dzień następny, za cenę dziesięciu rupii. Widowisko miało się odbywać na tém samém miejscu, niepodobna było bowiem dobrać

ram stosowniejszych do obrazu. Przybywszy nazajutrz wieczorem, znaleźliśmy *teatr* oświetlony płomieńmi orzechów kokosowych palących się na końcach długich żerdzi z bambusu. Skoro zasiedliśmy na kłodzie powalonego kokosu, rozpoczęły się przygotowania do widowiska. Kilku ludzi zupełnie nagich, przyświecając sobie pochodniami, zaciągnęło przed nami białą zasłonę, po za którą poczęli się zgromadzać aktorowie. W krótce odgłos bębnów i dzwonków rozległ się po lesie tyle cichym przed chwilą, wabiąc ku sobie okolicznych mieszkańców. Niebawem też ukazały się pomiędzy drzewami, i wyjrzały z pośród zarośli, ponure postacie męzkie, ponadbiegało też mnóstwo kobiét i dzieci, które posiadały nieco o podal na matach, wyglądając ciekawie upodobanéj zabawy. Grobowe światła pochodni nadawały całemu obrazowi jakąś cechę posępną i uroczystą, przypominającą obchód żałobny; a wzrok zapuszczał się z mimowolną trwogą w tajemnicze głębie lasu, z których wychylały się tu i owdzie słabo odkreślając się w ciemności, milczące postacie cery miedzianéj, całkiem obnażone, z długiemi włosami i dziwnie posępném wejrzeniem. Po za temi istotami, niemal już fantastycznemi, wyobraźnia szukała w dalekich pustkowiach tych puszcz, nieznanych innych jeszcze ich mieszkańców, i upatrywała tam zwierzęta jakieś bajeczne i nieziemską przyrodę.

Przy rozpoczęciu widowiska, zasłona spadła, odkrywając nam obraz zdumiewający bogactwem i fantazyą układu. Mieliśmy przed sobą króla starożytnych Indji, przybranego z nadzwyczajnym przepychem; twarz miał pomalowaną dziwacznie, a w ręku trzymał *kriss*, czyli malajski kindżał którym wywijał z niepospolitą zręcznością. Obok niego, występowała w roli królowéj, ta sama kobiéta, którą widzieliśmy poprzednio; strój jéj jaśniał od złota i drogich kamieni, machała rękami i rzucała się tu i owdzie z niezrozumiałą dla nas gwałtownością, towarzysząc sobie przeraźliwym jakimś śpiewem, podobniejszym do beczenia jakiego zwierzęcia niż do ludzkiego głosu. Śpiew ten zdawał się starać o jak najzupełniejszą niezgodność z innemi głosami odzywającemi się jednoczasowie. Bayaderka miała twarz dosyć ładną, ale była przerażającéj chudości. Resztę sceny zajmowali: minister czyli wódz jakiś niemniéj uciesznéj postaci jak błazen brodaty i opasły który stał tuż przy nim, żona owego wodza, którą przedstawiał męszczyzna przebrany w bogaty strój kobiecy, wreszcie młody chłopak, fantastycznie przyodziany na podobieństwo bożyszcza; całe widowisko miało przedstawiać jakiś ustęp ze starożytnéj mitologii indyjskiéj. Wszyscy aktorowie tańcowali i śpiewali, każdy po swojemu, ruchy króla były najskoczniejsze, i stanowiły dziwną sprzeczność ze strojem poważnym przypominającym kapłana pogańskiego. Jako znamie wysokiéj kasty do któréj należał, miał twarz pomalowaną na kolor jasno żółty, wyraz jéj był rozpromieniony, i rozprawiał żywo rękami, deklamując z nadzwyczajnym zapałem, z oczami roziskrzonemi, drżąc całém ciałem i tupiąc nogami. Od czasu do czasu, zbliżał się szybko ku mnie, jakby grożąc kindżałem ze złoconego drzewa, potém z nagła zatrzymywał się, i oddawał mi głęboki ukłon, nazywając mnie *Radża*, co jest tytułem chętnie udzielanym w kraju każdemu, kto płaci bez targu. Znagła wpadło na scenę kilku ludzi z nożami, którzy rozpoczęli bój zacięty, walcząc z sobą z wielką zręcznością. Miało to wyobrażać najście dzikich. Wtedy nadbiegł drugi król, różniący się tém tylko w stroju od poprzedniego, że miał pawi ogon przytwierdzony na grzbiecie i że trzymał w rękach pęki takichże piór któremi wywijał kułakując wszystkich niemiłosiernie. Zerwał piérwszemu królowi z głowy koronę z palmowych liści, i zasiadł na jego tronie, który był po prostu ławką z rzeźbionemi grubo nogami; poczém wszyscy obecni poczęli mu cześć oddawać. Ku końcowi przedstawienia, pojawił się jakiś derwisz czy też czarnoksiężnik wysokiego bardzo wzrostu, prawie całkiem obnażony, z długiemi włosami rozpuszczonemi, ze śpiczastą czapką na głowie, i twarzą pomalowaną w żółte hieroglify. Tańce i śpiewy, czyli raczéj przeraźliwe wrzaski, trwały tak bez przerwy do końca przedstawienia, wyobrażając radość ludu pod berłem nowego monarchy.

Takiemi są obrazy, jakie przedstawia Cejlan. Żegnając tę krainę uroczą, stęschniony już za nią podróżnik, pyta siebie, czy podobna mu będzie zobaczyć raz jeszcze to, co było tylko może czarodziejskiém marzeniem wyobraźni."

---

*
* *

Profesor anatomji w Wiedniu Józef Hyrtl urodzony w Węgrzech, z powodu wyboru swego na rektora uniwersytetu, miał mowę przeciw wyłącznemu traktowaniu człowieka, jako istoty czysto materjalnéj, zawstydzając niemal nieprzyjaciół nieśmiertelności duszy i zagrobowego życia nie zbitemi na to dowodami. W jednym ustępie powiada:

„Całe moje życie poświęciłem badaniu ciała ludzkiego, które ćwiertowałem więcéj jak w tysiącu sekcjach. Rozbierałem głowy do najdrobniejszych cząstek, mierzyłem, ważyłem, porównywałem, i przekonałem się dotykalnie, że działalność człowieka jest zupełnie niezależną od kształtu i przymiotów mózgu, i że błędném jest mniemanie jakoby myśli ludzkie były skutkiem obecności fosforu. Stosunkowo bowiem uważając, wieprz i gęś, mają tyleż mózgu co człowiek; mózg warjata ma taką samą ilość fosforu jak zdrowego człowieka, z przymiotów zatém mózgu byt ducha ludzkiego i jego czynność wytłumaczyć nie podobna.“

Przyklaskując z całym zapałem podobnemu kierunkowi naukowych badań, żałujemy jednak, że uczony profesor, tak troskliwie szperając w mózgu gęsi, nie wziął pod swój skalpel anatomiczny głowy słynnéj jakiéj elegantki, żyjącéj jedynie modą, w modzie i dla mody, zatopionéj w modzie, myślą, upodobaniem, marzeniami, grymaszącéj nawet według przepisów mody, i przesuwającéj modnie omdlałe oczy... po wymuskanéj żyjącéj laleczce, lub brzęczącym holenderskim adonisie. U nas Bogu dzięki, z ekscentrycznemi wybrykami mody nie często spotkać się można: posiadamy tyle jeszcze rozwagi, uczucia godności, i wstydu nawet, że do tego szalonego wiru podsuwamy się zwolna, ostrożnie i o tyle wpływowi jego podlegamy, o ile jesteśmy ludźmi, i żyć musiémy w warunkach naszego ziemskiego przeznaczenia. Czasami wprawdzie napotkać można jaką postać niewieścią w kraciasto-jaskrawym cyrkowym przystroju, z laską w ręku lub pejczą jak handlarz końmi przesuwającą się lekką stopką po bruku Warszawskim, lub przechadzającą się poważnie, w cienistych ulicach Saskiego ogrodu; ale wypadki podobne są nader rzadkie, i zwracaniem na siebie ogólnéj uwagi, oglądaniem się ciekawém każdego przechodnia, świadczą jasno, że są dziwactwem jakoś do nas nie pasującém, niezgodném z naszym gustem i usposobieniem, słowem poczwarą zamorską gwałtem pomiędzy nami szukającą gościnności. Ale we Francji moda dochodzi do prawdziwego szaleństwa, i w ostatnich czasach przyszła do takiego szału, że naprawdę przypuszczać należy, iż Francuzkom przekręciło się w głowie, a zdrowa rozumna myśl, furknęła gdzieś za oceany.

Moda bowiem tam nie poprzestając na ubiorach złożonych ze stu tysięcy sztuk rozmaitych a często niepotrzebnych, dziś przybrawszy w pomoc róż, farbki i bielidło, zabrała się do poprawy natury, tworząc jakieś niezwyczajne postacie cóś bardzo na monstra zakrawające. Czarną więc kredą kobiéty przedłużają sobie oczy, twarz posypują mąką, lica różem, usta jakimś mastykiem, a włosy farbują na kolor złoto-rudy, tak że w tym kataklizmie mody, brunetki przepadły z kretesem, blondynki zaledwie śmią się pokazać, a pozostały tylko same rude często świecące czarnemi oczami jak węgiel, a raczéj jak szatan czychający na ludzką duszę.

W pogańskim Rzymie, kosmetyk był niegdyś w wielkim użyciu, ale nigdy nie przyszedł do tak wielkiéj konsumpcji jak to się obecnie dzieje w Paryżu. Piver, jeden z głównych dostarczycieli toaletowych przyborów, pomimo wyrabiania za miljony tego towaru, nie może dziś wystarczyć obstalunkom które na róż, farbki i bielidło, sypią się jak grad na niego ze wszystkich stron, ledwo że nie z gwiazd i księżyca. Jeśli forma odpowiada duchowi, i ma być objawem naszego wewnętrznego usposobienia, czyżby zamiłowanie w pogańskiéj modzie, miało odpowiadać pogańskiemu usposobieniu ducha naszego? Czyżbym nie mylił się, okrzyczane nasze chrześcjaństwo nazywając tyle razy, najczystszém pogaństwem?

Rozpatrzmy się tylko dobrze w koło siebie bez pychy i zarozumienia, policzmy wszystkie łzy w cichych, bojaźliwych westchnieniach, słane ku niebu, a potém spojrzyjmy w siebie, i odpowiedzmy na rzucone pytania.

Gdyby ludzkość malutkiéj chciała nauczyć się rzeczy, że wszelkie dobro, jest w nas samych, że przez wydobycie go w jednostkach, przez prace wewnętrzne, pojedyncze, indywidualne, dochodzi się do ogólnéj pomyślności; gdyby od góry do dołu, wszystko przejęte tą myślą, w jéj duchu działało, rządziło, postępowało, wówczas pogodziłbym się ze sławioną tak dziś cywilizacją niby chrześcjańską i zapominałbym raz na zawsze o pogańskiéj pani świata. Ale naśladując ją we wszystkich samolubstwach, bezeceństwie, nawet w malowaniu twarzy i włosów, jakżeż mam oszczędzać kałamarzowych gromów na tę nędzotę, która śmie się nazywać ludzkością? Czuję to bardzo dobrze, że krzyki Waszego nudziarza i gawędziarza, tém są dla Paryża i Francuzów, czém kąsanie komara dla słonia, albo kiwanie palca... w kieszeni, ale mi nie idzie o Francją, umiejącą sobie saméj radzić, ale o Was zacne moje Rodaczki, o Wasze poczciwe serca mogące się zbrukać w tym zawrocie myśli, i o Wasze *jagody* kwitnące *różami*, których naturalnemu wdziękowi nic nie wyrówna, a żadna sztuka nie poprawi i nie upiękni. Malowanie zostawcie Francuzkom i kiedy już nie mają co lepszego robić, niechże się malują i kosmetykują; Wy zaś starajcie się o wdzięk pracy, o ślady z częstego używania igły, kluczyków, nożyczek i natę-

żania myśli w rozumnym zarządzie całego domu. Oglądając się zawsze na cóś i na kogóś a nigdy na samych siebie, własne serce zróbmy skarbnicą cnót chrześcijańskich, a wówczas domowe ognisko stanie się rajem, a ziemia niebem...

W końcu chciałem dodać, czego Wam i sobie życzę, Amen — ale na szczęście powstrzymałem się w kaznodziejskiéj improwizacji, żeby pogwarzyć troszkę o powszednich sprawach naszego żywota.

Przypuszczenie iż Francuzkom przekręciło się w głowie, o jakiém wyżéj wspominałem, ma na nieszczęście pewną zasadę. Według bowiem statystycznych wykazów, choroby umysłowe niezmiernie rozszerzają się we Francji, bo gdy w r. 1846 było tam warjatów 10,625, w dziesięć lat później liczba ta wzrosła do 26,286, a w roku bieżącym wynosi już blisko 40,000. Jaka przyczyna tego, badania naukowe nie wykryły, tylko przypuszczają, że gdy w świecie wszystko idzie nie naturalnie, wyprężono, przymusowo, więc i rozum w głowach wypręża się i przekręca. Jak tam u nas się dzieje niewiadomo; ale faktów zapewne nie brak dowodzących że i pod tym względem Francuzom nie ustępujemy.

Niedawno jedno z pism czasowych donosząc, że w Łodzi zaczęło wychodzić nowe pismo perjodyczne pod tytułem: *Lodzer Anzejger* czyli Łodzkie ogłoszenia, poświęcone ogłoszeniom policyjnym, rozporządzeniom władz, inseratom i części literackiéj, powiada daléj, że nie może się wstrzymać od zrobienia uwagi, dla czego główniejsze miasta nasze jak Lublin i Kalisz, nie zdobędą się na założenie podobnych miejscowych pisemek. W poparciu zrobionego projektu, powiada daléj, że za granicą mianowicie w Anglji, każde najdrobniejsze miasteczko, posiada swoje pismo, służące potrzebom całéj okolicy.

Projekt rzeczywiście prześliczny i niezmiernie postępowy, ale sprawozdawca nie zwrócił uwagi, że gdy blisko pięć miljonów ludności całego kraju, nie może utrzymać dwóch gazet codziennie wychodzących w Warszawie, które już ledwie dyszą pod ciężarem obojętności i zapomnienia, jakże kilkunastu tysiączne nasze miasteczka, mogą się zdobyć na utrzymanie pisma wyłącznie ich obchodzącego?

W zakończeniu polecam Wam świéżo wyszłe *Czytanie wieczorne* poświęcone młodszemu pokoleniu Polek z których piérwsze sześć książek obejmuje powieść z angielskiego Szmitha p. t. Niedole i pociechy i te stanowią tomy dwa, tom trzeci obejmuje listy moralne.

Polszczyzna dobra, poczciwa dążność i zajęcie, zalecają tę prawdziwie pożyteczną publikację która sprzedaje się osobno tomami lub razem, po złp. 4 za tom trzeci na papierze zwyczajnym, złp. 5 na welinie. Egzemplarze kartonowane kosztują gr. 20 drożéj.

Skład główny w Księgarni Celsa Lewickiego.

Nowości muzyczne.

12. *La Colombe* petite polka p. Gotschalk. Bardzo zgrabnie napisana, efektownie i oryginalnie. Na tém niezbywa Gotschalkowi, a niektóre jego kompozycye tak tchną Ameryką, że do zrozumienia rzeczywistych intencyi autora trzebaby się udać po klucz do *dziewiczych lasów*. Trzeba zwrócić uwagę na małe ozdobne nutki żeby je niegrać ciężko, ale owszem krótko i lekko, albo na str. 3 gdzie akompanjament przechodzi z jednéj ręki do drugiéj, a śpiew idzie górą, figura ta z dwa razy wiązanych nót złożona, powinna iść gładko, ręka lewa odbierze prawéj i nawzajem, ale ma się wydać dla ucha słuchacza jakby to jedna ręka wykonywała, a drugiéj śpiew powierzono.

13. *Herbstblätter* v. Stephen Heller op. 109. Składa się z dwóch numerów czyli listków jesień wyrażających, jeden w tonie Es, drugi w tonie F, twarde. I tu sprawdza się porównanie iż niéma dwóch listków podobnych do siebie chyba zielonością, tak i te 2 numera zupełnie różne od siebie tylko pokrewne duchem. Oba te ustępy tchną oryginalnością tak co do samych pomysłów jak i w sposobie przeprowadzenia tych myśli. Harmonjowanie również niezwyczajne, wprawdzie przypomina nastrojem swym, rzeczy Mendelsona, Szumana, jest to jednak kompozycya nowszéj szkoły a styl więcéj jak średni, bo są ustępy łatwiejsze ale i trudne do oddania dokładnego. Całość i szczegóły piękne, polecają się czytelniczkom. *A. B.*

O UBIORACH.

Moda zimowa stanowczo już ustalona, możemy więc śmiało mówić o wszystkiém. Suknie wełniane powszechnie przyjęte, przez najpiérwsze nawet elegantki do wyjścia na ulicę. Między innemi widzieliśmy piękną tkaninę w prążki w kolorze jednostajnym. Suknie z niéj robią z takimże samym okryciem. Doozdoby służy frendzla sznelowa, lub też sznelowe grelotki, zwane *boules Andalouses.* Kolor fijołkowy powszechnie przyjęty na suknie wełniane. Mówiąc o sukniach wełnianych, należy wspomnieć że szkockie kraty różnego rodzaju ciągle są używane. Podobają się także tkaniny w paski podłużne, jednostajnego koloru, lub dwoistéj barwy.

Do sukien z gładkiego materjału, dodaje się

zwykle taka sama okrywka, rotonda albo paletot. Do sukien w deseń albo kratę okrywka powinna być odmienna, z sukienka albo aksamitu.

Rotondy aksamitne w kratę, w rozmaitych kolorach obszyte szeroką frendzlą sznelową stanowią dziś fantastyczną modę. W tych dniach widzieliśmy w magazynie panien Kuhnke kilka sukien do rozmaitego służących ubrania i z tych niektóre opiszemy.

Suknia jedwabna w szafirową i białą kratę średniéj wielkości, miała stanik z przodu do paska zapięty na duże płaskie guziki z perłowéj konchy, z tyłu karoczek z długiemi na 3 ćwierci łokcia równo ściętemi połami, na to w koło pasek z szerokiéj wstążki zwany *cinture empire*. Rękawy *à coude* z epoletem w dubeltowy ząb i mankietem wykładanym, objęte przy rękach równie jak stanik grubą wypustką z białéj materji.

Druga suknia przygotowana dla młodéj narzeczonéj, na dzień zaręczyn, biała muszlinowa haftowana na zielonéj jedwabnéj *vert d'Isly*. Stanik jedwabny spodni wycięty, muszlinowy pod szyję zmarszczony do paska kładł się osobno w rodzaju bluzki.

Suknia wełniana z wyrobu angielskiego *Say* zwanego, w szachownicę czarną i hawanna, przody miała gładkie ścinane w kształcie Gabrjeli, spódniczka do boków układana w drobne, jedno calowe fałdy ku tyłowi, w środku jeden kontrafałd duży. Przód cały od góry do dołu naszyty rzędem dużych, okrągłych, lawowych guzików. Rękawy suche i tak wązko ścięte, by tylko rękę przesunąć można zakończone były mankietem gładkim z czarnego kamlotu naszytego wązką wełnianą taśmą odpowiedniego sukni koloru, takież epolety i klapy szerokie przy kieszeniach dopełniały całości.

Suknia z fularu wełnianego w czarne kółka na tle czekoladowym, spódniczkę miała odciętą, ułożoną w drobne fałdy, bryty boczne równie jak u wszystkich innych sukien ścięte skośno ku górze, śliczny kształt nadaje i robi je bardzo powłóczystemi. Stanik gładki wszyty w wypustkę ze sznurkiem, ubrany był z przodu wstążeczką czarną w kształcie stanika greckiego i spięty na guziki lawowe. Rękawy suche objęte przy rękach czarną wstążeczką z pod któréj idzie ku górze falbana fałdowana oszyta takąż wstążką. Falbanka ta formująca mankiet szersza na środku, a pod spodem nierównie węższa. Epolet taki sam jak mankiet.

Powiedzmy słówko o jedwabnych materjach. Atłas powrócił do mody, pozyskał jak niegdyś względy powszechne. Noszą go zwykle w kolorach jasno szafirowym, stalowym, czarnym, i fijołkowym zwanym *pervenche*. Ostatni nadzwyczaj się podoba, jest to kolor dziki fijołkowy przypominający barwę polnych kwiatów. Widzieliśmy także atłas w kraty na suknie do strojnego ubrania.

Mora starożytna *moire antique*, bardzo też używana na suknie strojne; najwięcéj ją noszą w stalowym kolorze. W stanikach spostrzegamy tę różnicę że bawety mniéj są używane, a Baskiny rozmaitego rodzaju i pod różnemi nazwiskami, stały się panującą modą, podobają się także krótkie staniki przepasane szerokim pasem aksamitnym albo jedwabnym z dużą klamrą. Pasy takie aksamitne, podszyte skórą, z klamrą złoconą widzieliśmy w Magazynie pani Sobolewskiéj po złp. 33 gr. 10.

Jako nowość wspominamy pasek skórzany, nabijany z obu stron stalkami, spięty na klamrę stalową. Z tyłu spadają dwie skórzane szarfy, zakończone frendzlą ze stali.

Przejdźmy teraz do kapeluszy. Są to raczéj czepeczki, fanszoniki, siatki, niżli właściwe kapelusze, trudno jednak zaprzeczyć im gustu. Zdobią je wszystkie perłami i koronką. Opiszemy tu niektóre z nich szczegółowo które widzieliśmy zrobione na wzór Paryzkich modeli, ale w cenie nierównie od tamtych przystępniejsze.

Kapelusze aksamitne mają w ogóle kształt kapotek, układanych w fałdy których rondko dochodzi tylko do warkocza, główka zaś oddzielnie z innego koloru aksamitu, wstążki a nawet illuzyi przymarszczona w kształcie spadających trzech drobnych bufek albo też ślimaka.

I tak: zielony aksamitny, z tyłu bufka z białéj illuzji w koło, w kształcie ślimaka przymarszczona do rondka, na to gwiazda z czarnéj koronki tak szerokiéj jak bufka przepięta w środku dużą czarną lawową broszą, co stanowi płaską bardzo główkę. Szarfy z zielonéj jaśniejszéj wstążki przypięte w ten sposób iż doszedłszy do główki zaginają się pod bufką ku tyłowi i tam na krzyż przypięte stanowią karczek z dwóch końców 8-mio calowych spadających na szyję. Podpięcie z białéj illuzji i bukietu z paryzkich kwiatów mięszanych z zielonym aksamitem. Drugi czarny aksamitny, główkę miał złożoną z trzech bufek szafirowego aksamitu spadających jedna na drugą, z pod ostatniéj koronka czarna przymarszczona, spadała na wstążkę szafirową przechodzącą od szarf i z nią razem stanowiła karczek. Podpięcie z takiego jak główka szafirowego aksamitu, od góry przymarszczone do rondka i dość szeroko spadające, a nad czołem zakończone falbaneczką przepiętą łańcuchem czarnym lawowym, mającym po obu końcach takież same duże bombki spadające na skronie. Garnirowanie po bokach z illuzji. Nad główką gdzie się rondko kończy takiż sam łańcuch z blondynki jedyną stanowi ozdobę. Ładny był także dla osoby starszéj czepeczek z białéj gęstéj illuzji, główka ubrana czarna koronką i wstążką szafirową, takież szarfy. Przy twarzy biała blondynka marszczona w poprzek i przepinana gęsto spadającemi lawowemi bombkami; nad czołem bukiet z szafirowego powoju, i lawowych kwiatów złożony.

Kapelusz czarny aksamitny, przepikowany w jednakowych odstępach. Na każdem zagłębieniu naszyte były paciorki z lawy z długiemi wisiorkami. Brzeg ronda haftowany był lawą i jedwabiem. Ku tyłowi cokolwiek z boku, zdobił go pęczek piór. Diadem z piórek i szarfy aksamitne czarne dopełniały ozdoby. Inny kapelusz fijołkowy aksamitny, haftowany białą grubą sieczką, miał zarzuconą na wierzchu katalankę blondynową białą, z pod któréj spadało strusie pióro.

Zwrócił też uwagę naszą kapelusz zielony aksamitny, w rodzaju siatki. Maleńkie rondo tworzyło jakby buffę, od niego spadała na tył głowy siatka, złożona z wązkich aksamitek, w miejscu gdzie się te aksamitki krzyżują, naszyte były białe perły. War-

kocz wchodził w tę siatkę. Białe piórko z boku, szarfy aksamitne dopełniały ubrania.

W ogólności szarfy aksamitne do kapeluszy, bardzo przyjęte w tym roku.

Przytoczemy tu jeszcze piękne ubranie na głowę, które się powszechnie podobało. Był to stroik złożony z bufki aksamitnéj czarnéj, wgiętéj nad czołem, w rodzaju *Marji Stuart*. Nad warkoczem szła rozeta aksamitna, z pod któréj spadał długi woal koronkowy. Biała kitka z piórek wpięta z lewego boku, ślicznie odpowiadała całości.

Wracając się do okrywek dodamy, że paletoty z pluszu Angielskiego, zwanego *Silk-skin* nadzwyczaj się podobają, robią je w różnych kolorach, szczególniéj w ciemno-granatowym i fijołkowym.

Opis deseni do haftu.

N. 1. Połowa kołnierzyka stojącego z wykładanemi rogami. Kółka w skrzydłach motyla robią się ażurowe. Deseń ten bardzo jest modny. — N. 2. Połowa mankieta do powyższego kołnierzyka. — N. 3. Mankiet z dubeltowego płótna w wycinane zęby kanciaste. Wyrysowane ząbki na mankiecie z lewéj strony zeszywają się gęstym ściegiem, wycinają i wyrównywają za pomocą nożyczek. Kołnierzyk się odwraca na prawą stronę, podszywa walansienką, która wypełnia próżne miejsca i ostebnowywa każdy ząbek jak oznaczono na deseniu. Rękawki białe do mankietów bywają tym samym fasonem jak do sukien, przecinane i zaokrąglone na łokciu. — N. 4. Połowa kołnierzyka. Garnitury takie dostać można w magazynie panien Kuhnke po złp. 33 gr. 10. — N. 5. Całość kołnierzyka płóciennego z walansienką.— N. 6. Rękawek. — N. 7. Wzór kaftanika trykotowego który się kładzie pod suknie. Kaftaniki takie robią również z białéj lub pąsowéj flanelki. — N. 8 i 9. Deseń do rozmaitego użytku. — N. 10. Motyl do kołnierzyków i krawatek. Skrzydła zapełniają się stembenkiem i pająkami.— N. 11. Narożnik do chustki od nosa. — N. 12, 13 i 14 Deseń do falbanek i koszul damskich. — N. 15. Narożnik do białéj muszlinowéj krawatki. — N. 16. Wzór kaftanika frakowego. W magazynie pana Dziechcińskiego znajdują się takie kaftaniki sukienne wyszywane grubemi sznurami jedwabnemi od 100 do 120 złp. W następnym dodatku umieściemy formę tegoż kaftanika.—N. 17. Narożnik do krawatki muszlinowéj. — N. 18. Kaftanik frakowy z drugiéj strony. — N. 19. Wzór paska zwanego *cinture empire* z czarnego aksamitu lub materji, wyszyty brzegiem jedwabnym sutaszem i perelkami Podszewka daje się jedwabna, w środek zaś dla sztywności płótno twarde. Klamerki używane złocone po złp. 13 gr. 10 lub stalowe. — N. 20. Kamasz kortowy dla dzieci. Cena jednéj pary od złp. 6 gr. 20 do złp. 20, stosownie do wielkości i gatunku. — N. 21. Połowa kołnierzyka. Listki haftowane atłaskiem i stembenkiem. — N. 22. Kołnierzyk płócienny haftowany atłaskiem i ściegiem przewłóczonym kolorową bawełną. — N. 23. Alfabet do znaczenia bielizny. — N. 24. Mankiet do rękawka dla dziecka. — N. 25. Połowa kołnierzyka do ściegu przewłóczonego. — N. 26. Paltot z granatowéj syberyny objęty aksamitem. Poły z tyłu również naszyte aksamitem.— N. 27. Paltot z drugiéj strony. — N. 28. Kołnierzyk płócienny garnirowany w koło wązką, a na przodzie szeroką walansienką. — N. 29. Rękawek z mankietem odpowiednim. — N. 30. Pasek skórzany. — N. 31. Suknia popelinowa havanna ze stanikiem frakowym, z przodu bez bawetu. Tak suknia jak stanik ozdobione aksamitką. — N. 32. Suknia z fijołkowéj alpagi z kaftanikiem zwanym: Ludwik XV obłożony jak suknia czarną materją i wązką gipiurą. Guziki z konchy perłowéj.— N. 33. Wzór kołnierzyka męzkiego z wykładanemi rogami zwany: *jeune Altesse*. Krawat jedwabny wiązany.— N. 34. Kołnierzyk *Parisien* do koszuli męzkiéj z przodu znacznie wyższy jak z tyłu. N. 35. Kołnierzyk *napolitain* zupełnie równy, schodzący się z przodu. Krawat *impériale* z długo spadającemi końcami. — N. 36. Kołnierzyk *vénitien* z przodu zaokrąglony. Krawat wiązany. — N. 37. Suknia czarna jedwabna. Stanik z karoczkiem, z przodu bez bawetu objęty pasem aksamitnym z klamrą złoconą. N. 38. Kołnierzyk angielski wykładany. Krawat wiązany. — N. 39. Kołnierzyk *méxico* z przodu wyższy jak z tyłu. Krawat szalikowy z długiemi końcami. — N. 40. Kołnierzyk równy zaokrąglony. Krawat *Jean Bart* z matowéj materji w kółka atłasowe. — N. 41. Paletocik wcinany do figury przybrany pasmanterją. Suknia z brązowego rypsu naszyta aksamitką. Kapelusz popielaty kastorowy z zielonem piórem. Buciki kozłowe z dużemi cholewami.

Opis formy kaftanika marynarskiego i wcinanego do figury.

N. 1. Przednia część kaftanika do figury z fałdem na boku. — N. 2. Boczek. — N. 3. Połowa pleców.— N. 4. Rękaw. — N. 5. Całość kaftanika. Obszyć go można futerkiem, astrachanją albo pasmanterją i przyozdobić guzikami. — N. 6. Mankiet do kaftanika marynarskiego z aksamitu albo flanelki odmiennéj barwy jak kaftanik. Mankiet ten daje się tylko na jednéj połowie rękawa i zdobi stalowemi albo złoconemi guzikami.— N. 7. Klapa do kieszeni. — N. 8. Klapka do kieszeni innym fasonem. — N. 9. Przednia część kaftanika marynarskiego z wykładanemi przy kołnierzu klapkami.— N. 10. Połowa pleców. — N. 11. Połowa rękawa.— N. 12. Druga wierzchnia połowa rękawa na któréj oznaczony mankiet z pod N. 6-go. — N. 13. Forma kołnierza. Część oznaczona literą *z* przyszywa się do pleców w tem miejscu gdzie także litera z. Litera *a* przypada do przedniéj części marynarki gdzie litera *a* położona. — N. 14. Całość kaftanika marynarskiego z popielatego sukna. Kołnierz, mankiety, klapy przy kieszeniach i objęcie w koło, z fijołkowego aksamitu lub flanelki. Guziki złocone albo zlawy.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się arkusz z deseniami do haftu i formami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 47 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 19 Listopada 1864 roku.

NA CMENTARZU, NA WULKANIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Miłość rodząca się ku niemu, coraz gwałtowniejsza im oboje dojrzewaliśmy bardziéj, dawała mi jasnowidzenie położenia, byłam panią méj woli, mogłam sobą rozporządzać bylebym doczekała pełnoletności. Postanowiliśmy jéj czekać cierpliwie. Mój ulubiony był synem starego rządzcy dóbr matki, chłopcem ubogim, ale starannie wychowanym, natura obdarzyła go tak jak ona czasem umie wydziedziczonych obsypywać. Powierzchowność, umysł, serce, talenta, miał wszystko, miał to co nad wszystko ceniłam wielką prawość charakteru, szlachetność duszy posuniętą aż do heroizmu, kochał też mnie w milczeniu wcale nie spodziewając się szczęścia, bo mu stały na zawadzie moje imie i miljony, rodzina i mienie. W najśmielszych swych nadziejach roił zdobycie wielkiéj sławy i wielkiéj fortuny, aby jako równy mógł stanąć w szeregach moich pretendentów.

Staś przywykł był codziennie przychodzić do zamku, ciotka zrazu sama go dla siebie bałamucić usiłowała, ale w prędce się tego wyrzekła, potem wspólnie z poczwarą starała się go okryć śmiesznością, ale mój luby choć dzikie nieco dziecię wsi, potrafił wyjść zwycięzko z zastawionych nań sideł. We mnie też oburzyła się dusza na widok tych knowań, których cel codzień dla mnie stawał się jaśniejszym.

Ciotka nie mogąc inaczéj, postanowiła go oddalić dobrodziejstwem. Stanisław skończył był nauki w kraju, ojciec nie mógł łożyć na dalsze wykształcenie, miał bowiem liczną rodzinę. Jednego wieczoru ciocia zawoławszy go do siebie, rozczuliła do łez, przypominając mu jego wielkie zasługi dla naszéj rodziny, napomknęła delikatnie że ś. p. matka moja niedosyć je może wynagrodziła, że ona czuła się w obowiązku spłacenia tego długu, i wychwalając talenta Stasia ofiarowała się ojcu kosztem własnym wysłać go za granicę. Staruszek się naturalnie napłakał, wziął to wszystko za dobrą monetę i gotów był już syna wysłać. Tego tylko chciano, spodziewano się że o sobie zapomniemy, że miłość dziecinna wyleci mi z głowy i serca, tymczasem poczwara miała użyć wszystkich środków zdolnych oczarować, pociągnąć, a nawet zmusić ofiarę, do poddania się.

Hrabina zakryła sobie oczy.

— A! uwolnijcie mnie państwo, od dalszego opowiadania, rzekła, zapominam się, nieumiem kłamać, niepotrafię tego dramatu ułożyć tak jakbym powinna, osłonić przykrych dla mnie wyznań, prawda mnie pociąga a wstyd hamuje.

Chwila głuchego milczenia nastąpiła po tym wykrzykniku bolesnym.

— Zdaje mi się przerwał hr. Żywski sucho z dzikim uśmiechem, że pani zbyt *au pied de la lettre* bierzesz obowiązek spowiedzi przed nami, nikt bolesnych wyznań wymagać nie może.

— Ale ich zbolała potrzebuje dusza, zawołała Adela, zbyt długo nosiłam je w sercu zamknięte, dusiły mnie. Wierzcie mi, spowiedź tak jak ją pierwsze wieki chrześcijaństwa pojmowały, jest czasem potrzebą dla cierpiącego człowieka, pragnie on poskarżyć się, choćby obwinić przed Bogiem i światem, aby wylać z siebie tę żółć i gorycz, które mu życie na piersi zwaliło.

Hrabina zamilkła, twarz Zygmunta stała się bledszą i żółtszą jeszcze niż zwykle, a oczy słuchaczów mimowolnie zwróciły się na te dwie postacie, które instynktowo każdy łączył w myśli.

Nikt się nie odzywał, po chwili milczenia przeciągłego, hrabina mówiła cicho.

— Ulubiony mój nie odjechał wszakże, potrafiłam go wstrzymać. Naówczas zamiast stawić przeszkody między nami, szatańską rachubą zapomniano na pozór o nas, pragnąc abyśmy i my się zapomnieli. Nie mogąc inaczéj mnie złamać, obrachowano że skompromitowana w oczach świata, uwiedziona niemogąc się połączyć z kochankiem, będę musiała oddać rękę pierwszemu kto mi dłoń wyciągnie, że upokorzona zostanę jego niewolnicą, że milczenie jego i przeszłość okupię ofiarami jakich po mnie wymagać będą! Plan był skreślony z przewrotnością, któréj dwoje zakochanych, ślepych, namiętnych młodych ludzi odgadnąć nie mogło, potrzeba było abym nieszczęśliwa do nich, jako do zbawców wyciągnęła ręce. Stało się jak chcieli, jak przewidywali. Dano nam zupełną swobodę, zostawiono nas, biegaliśmy we dwoje na długie przechadzki, obojgu nam zawróciły się głowy, i szlachetny mój drogi, jak ja zapomniał co nas od siebie dzieliło. Rozumowaliśmy iż ciotka widząc to przywiązanie tak silne i stałe, wyrzekła się stawać mu na drodze. Tych kilka miesięcy szczęścia było całym wydziałem jego, jaki dla mnie zachowało życie, ale jakżem drogo opłacić je miała! Szpiegowano nas, a gdy on i ja śniliśmy o przyszłości, która jedna teraźniejszość uniewinnić mogła, poczęły się ciche intrygi dla oddalenia go. Jak piorun spadła na nas nieuchronna dłań służba wojskowa, do któréj został przeznaczony.

Padłam na kolana przed Ciotką, wyznając jéj wszystko, że przed Bogiem przysięgłam bydź jego żoną i jaki kolwiek będzie los jego podzielić go muszę, ale Ciotka pocieszając mnie z uśmiechem, zrozumiéć niby nie chciała. Z szybkością odurzającą następowały po sobie wypadki, on natychmiast oddalić się musiał, położenie moje stało się straszliwém.

W padłam w rozpacz, w chorobę, w obłęd jakiś, w czasie którego przerażając mnie utraconą sławą, wstydem, odrzuceniem od społeczeństwa, zmuszono niewiem jak do oddania ręki memu prześladowcy, który się ofiarował dać mi swe imie, i przeszłość pokryć zapomnieniem.

W chwili gdym przystępowała do ołtarza, przyniesiono wieść o śmierci Stanisława, który zmarł z gorączki na obcéj ziemi, sierota! Trupa bez duszy powiódł niecny spekulator przed ołtarz, usta moje nie wymówiły przysięgi, łzami milczącemi odpowiedziałam na zapytanie księdza, niewiedziałam co się zemną działo, alem odeszła jako żona tego człowieka od kapłana, który pomięszaniu i głuchocie swéj przypisał postępowanie moje.

Z dniem tym rozpoczęło się życie męczarni nie opisanych, niewoli, rozpaczy. W człowieku tym chłód mój obudzał jakąś zażartość i wściekłość dziką, chciał mnie zmusić do posłuszeństwa, do pokory, chciał złamać, broniłam się jedną bezwładnością tylko. Ani łzy, ani widok cierpienia, serca jego poruszyć nie mogły, oczekiwał zawsze od czasu, od słabości, od nędzy méj i osierocenia, tego poddaństwa którego wymagał, smagał mnie szyderstwy, przypomnieniami; nielitościwém obejściem.

Przed obcemi oboje graliśmy komédją, bo dbał bardzo o to aby świat niewiedział tajemnicy tego życia, przy ludziach więc

był najczulszym małżonkiem, jam musiała przez wstyd uśmiechać się i okazywać jeśli nie czułość, to pewny wzgląd dla tego, który zwał się mężem moim. Nieraz po dniu przebytym w takiéj walce z wewnętrznemi uczuciami, padałam jak nie żywa, naówczas przychodził zimny, szyderski i rzucał mi w oczy żarem wspomnień, wyrzutów, rad, obelg, i zdawał się pragnąć wypróbować, ile niewiasta znieść może.

Znosiłam przecie długo, wieki, i Bóg widzi żem cierpiała z rezygnacją, z pokorą, żem cisnęła to biédne rozszarpane serce, aby nie wyskoczyło z piersi, aby przez usta nie wylało się potokiem przekleństw. W takich to męczarniach przeszła młodość moja, krótka, bo rozpacz wypala, zestarza, niszczy, bo łzy wynoszą z sobą po troszę sił żywotnych. Cierpienie stwardniło wreście piersi, zastygłam, ogłuchłam, przywykłam, pan Bóg mi dał nieczułość jako oręż przeciwko mojemu nieprzyjacielowi, postrzegł sam nareście że biciem tym uczynił mnie nieprzystępną boleści, zrozpaczył po latach wielu, aby mnie mógł złamać i uczynić tą niewolnicą posłuszną i uśmiechającą się, jaką chciał mieć we mnie. Jednakże nieopuszczał mnie, nieoddalał się na krok, ale żółć i złość zjadły go jak mnie, wysechł, znękał się prześladowaniem, bo ten który się zmaga na chłosty cierpi równie ze swą ofiarą. Okrucieństwo przeciwne nuturze ludzkiéj, cięży zarówno prześladowcy i prześladowanemu, tryumfuje on pozornie, ale w duszy jest dręczony i szarpany niepokojem.

Gdy jam nabywała zdrętwiałéj nieczułości, on coraz więcéj cierpiał, zwycięzca czuł się upokorzonym, smagał już tylko trupa którego razy nie bolały, życie i dla niego stawało się nieznośném, a w oczach dzikich błyskało obłąkanie. Znużony dawał mi dłużéj wypoczywać, sam potrzebując wytchnienia i pokoju, którego nie miał dręczony zgryzotami. Staliśmy jak skuci jednym łańcuchem przeciwnicy, jak dwóch galerników zbrodniarzy nienawidzących się, a zmuszonych żelazném pętem do nieodstępnego ścigania się dniem i nocą. Ale dla mnie życie stało się już machinalném dotrzymaniem do godziny, któréj zbliżanie się czułam z każdą chwilą.

Na ostatek tyran uznał się zwyciężonym, niepokój jakiś, milczenie, osłabienie zdradzały go. Ciotka moja która poszła była za mąż, za wynalezionego jéj w nagrodę za sprzedanie mnie wdowca, blizkiego krewnego poczwary, nadjechała na radę tajemną. Nie kryli się prawie z nią, przez wpół otwarte drzwi słyszałam ich rozmowę.

— Patrz pani na mnie, mówił hrabia, przypatrz się co ze mnie to upragnione szczęście uczyniło, jestem trupem chodzącym, a ona uśmiecha się. żyje, patrzy, rachuje może jak rychło się mnie pozbędzie.

Niczem jéj złamać nie potrafiłem, alem sam się rozbił o tę kamienną kobiétę, daléj w téj niewoli nie wytrwam. Myślałem że z czasem podbiję ją, zwyciężę, zmuszę choćby do pozornéj dla mnie miłości, posłuszeństwa, poddania się, trud był próżny, ona dziś panią, jam zabity i bezsilny.

— Boś użył środków, rzekła Ciotka, które żadnéj kobiéty nigdy nie pokonały, chciałeś ją zmódz siłą, potrzeba było łagodnością i słodyczą.

— Nienawidzę ją.

— Zdaje mi się że ona ci się sowicie za to wypłaca.

— Cóż począć? ja umrę, ja tak daléj spętany iść nie mogę, jeszcze rok, oszaleję lub zdechnę, rzekła poczwara, musiemy się rozdzielić.

— Cicho zawołała Ciotka, opłaci ci się czém zechcesz, bo jest jak ty znużona, umiej że się wytargować przynajmniéj.

Na te ostatnie słowa w biegłam do pokoju.

— Nie potrzebujesz, rzekłam dumnie, ani się targować, ani mi swobody pokazywać zdala, by mnie zmusić do ofiar. Jestem do nich gotowa, bierz co chcesz, a niech te więzy nieznośne prysną, każ na-

pisać umowę, zostaw mi czarny chleba kawałek a oddaj ciszę, swobodę i uwolń od widoku téj twarzy, która jest dla mnie głową meduzy, mrę gdy na nią spoglądam.

Oboje zamilkli, on się tylko nieco uśmiechnął, nie wątpię że zmojéj chęci oswobodzenia byłby skorzystał, gdyby go jakiś wstyd nie powstrzymał, w ostatniéj chwili chciał udawać wspaniałomyślnego, rozstaliśmy się nareście, odzyskałam życie! Ale któż mi mógł wrócić lata stracone, młodość, wiarę w to wszystko co dla mnie w przódy jaśniało, co dziś obrzydzenie budziło. Wyszłam z tych zapasów złamaną, zastygłą, zobojętniałą, taką jaką mnie widzicie panowie, istotą, która jak upiór błądzi po świecie, nie mogąc się nigdzie zatrzymać, nieumiejącą kochać, niechcącą się spodziewać, uśmiechająca się do śmierci, żyjąca w przeszłości krótkiéj, w téj oazie zagrobowéj którą codzienne łzy odżywiają.

Kończyła cichym szeptem, wszyscy stali z wyrazem politowania i współczucia, przejęci, zdziwieni. Tylko panna Joly troskliwa o swą wychowankę, w ostatnim ustępie opowiadania starała się do uszów jéj niedopuścić zbyt gorących wyznań hrabiny. Zdaje się że właśnie ta troskliwość szwajcarki sprawiła, że młoda angielka najchciwiéj pochwyciła, ostatnie epizody.

Nawet żartobliwy Vice-Hrabia garbaty, stał długo milczący i zamyślony nie mogąc się zdobyć na dowcip, blada twarz hrabiego Żywskiego zdawała się kamienniejszą niż przedtém, śladu uczucia na niéj nie było, widać historja ta nieporuszyła go wcale, z brwiami namarszczonemi patrzał przed się i dumał.

Szwed który słuchał ze łzami w oczach tych zwierzań biednéj niewiasty, piérwszy usta otworzył. Wyrazy jego wywołała wewnętrzna potrzeba, mówił jakby sam do siebie z przejęciem głębokiem.

— Otóż jedna z licznych ofiar tego świata, jedno z miljonowych świadectw o potrzebie głębszego zaszczepienia wiary w ludzi, którym od lat prawie dwóch tysięcy opowiadają próżno ewangelją. Na jéj tyranach jest że ślad że ich obmył chrzest, że ich uczono kochać, że im wszczepiono miłość dla wszystkich od kolebki? Chrystus przyszedł, wygłosił prawdę, umarł za nią, apostołowie ponieśli ją w świat i opieczętowali męczeństwem, duch Boży podyktował księgę praw, które miały panować społeczeństwu. I stał się cud! nawróceni zostali nieliczni, a tłumy żegnające się krzyżem, nieprzyjęły go do piersi, krzyż spoczywa na sercach, a w sercach go niema i niebyło. Jesteśmyż bracia, chrześcianie, dzieci Boże? Cud w istocie, prawda jasna jak słońce któréj miljony zapierają się codziennie uczynkami. Potrzebaż nowego Chrystusa, coby odżywił krew i słowo pierwszego?

Jaka różnica dzisiejszéj ludzkości od pogańskiego społeczeństwa? przerażająca dla nas, tam nieznano prawdy i kierowano się fałszem, dziś uznajemy ją wierzym w nią a postępujemy wedle innego przeciwnego jéj prawa. Miljony idą do ołtarzów, modlą się Bogu co ją ogłosił i wychodzą od ołtarzy poganami.

Straszliwy i obrzydliwy cud, słońce świecące, a ludzie oślepli nie chcący widzieć światła. Niepotrzebaż znowu aby powstali apostołowie, aby wyśli nowi męczennicy coby krwią odżywili zaschłą ewangelją?

Wszyscy słuchali bacznie, jeden Spauer zbliżył się i ujął starego Szweda za rękę z uczuciem.

(d. c. n.)

Dodatek do Nru 48 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 26 Listopada 1864 roku.

NA CMENTARZU, NA WULKANIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Swięcie mówicie, rzekł, nauka Chrystusa ażeby się stała czynem, istotą, potrzebuje nowych apostołów, świat ją wyszpecił, zapomniał, przywiązał się do słów, do form, zobojętniał na duchu. Chrystusa męczym i krzyżujemy na nowo. Zapieramy się go codziennie. Co mu po tych kościołach które bezpłodna fanatyczna wznosi pobożność, gdy wygnany jest z domów, gdy go nie ma w rodzinach naszych, w życiu, i gdy ten Chrystus stoi dziś jak *Deus ignotus* w Rzymskim Pantheonie, gdy obok jego krzyża płoną ofiary bałwanom interessu, samolubstwa, bezwstydu, gdy....

Spauerowi wyrażeń zabrakło.

— Nie ma wątpliwości, odezwał się uśmiechając nareszcie de la Meillérie, za dalekośmy odeszli od ideałów pierwszych wieków, ala jakaż na to rada? Co dzień szczepi się głębiéj nie już niewiara. ale obojętność na wszystko. Łatwiéj było nawracać pogan niż odstępców chrześcian, dziś apostołów wysłanoby jako ludzi niebiezpiecznych.... do Cayenny....

Ale noc późna, panowie, mamy jeszcze dwie spowiedzie do przesłuchania, dodał hrabia, wskazał na Żywskiego, zdaje się niecierpliwie oczekiwać kolei, a nasz nowy znajomy, obrócił się do Szweda, nie odmówi też zapewne.

— Uczynię co zechcecie, odezwał się Szwed, żywot mój nie ciekawy. Cały wewnętrzny, nie ma w nim wypadków, są walki myśli, są prace ducha, są trudy serca bijącego dla prawdy.

— Co do mnie odezwał się Żywski z uśmiechem wzgardliwym, radbym żebyście mnie państwo uwolnili od tego dziecinnego zadania, każdy z nas mimowolnie musi być swym apologistą, nikt się obwinić nie zechce, jest to więc stek bajek, który sobie prawiemy, po co? na co? dla czego?

— A choćby dla uczciwéj rozrywki, rzekł garbaty.

— Nie ma więc powodu żeby nie kłamać?

— Nie mamy i środków dojścia prawdy, jeśli jéj nam uczucie wewnętrzne nie wskaże, rzekł Spauer, ale bajka najkunsztowniéj obmyślana, ma na sobie cechę ludzkiego dzieła, najpospolitsza prawda wyższą jest nad nią niezmiernie.

— Słuchajcież państwo mojej bajki, przerwał niecierpliwie hrabia. Macie przed sobą człowieka, który w swych żyłach przyniósł na świat przychodząc do życia, potrzebę walki, nienawiść ludzi, wzgardę dla nich i niewiarę w ideały. Nie pamiętam ani potrafię wytłómaczyć, kto mnie uczynił takim jakim jestem, niebrakło pieszczot u kolebki, miłości w zaraniu, słodkiego mleka, macierzyńskiego przywiązania, a jednak pomnę, wszystko to niecierpliwiło mnie dzieckiem, największą miałem przyjemność wypłacić się szatańską złostką za czułość mi okazywaną, gryzłem pierś, która mnie karmi-

ła, mściłem się za przywiązanie, nienawidziłem szczęśliwych, śmiałem się z dobrodusznych. Jeszczem nie dorósł a jużem zestarzał. Wszystko wydawało mi się śmiesznem, najpoważniejsze rzeczy dzieciństwami, życie głupią farsą, wcześnie dostrzegłem i postanowiłem myśleć o sobie, zrobić dla siebie co było można, i w żadne umowy ze społeczeństwem nie wchodzić, bo w każdym takim kontrakcie człowiek jest zawsze oszukanym. Przyznaję się choć to trochę stara teorya, żem nad interes nie widział nic serjo. Przywiązanie, są to chwilowe popędy przeciw którym potrzeba się bronić, ofiary są po prostu śmiesznością, wstyd jakim starają się ludzie utrzymać jedni drugich na wodzy, łapką na tchórzów, nigdym go się nie lękał, bo widziałem że ci przed któremi mogłem się wstydzić, mieliby każdy czego się zarumienić, gdyby ich życie odkryto całe.

— Rzecz arcy ciekawa, szepnął garbus, pierwszy człowiek szczery, którego spotykam, i to coś warto.

— Z moją teorją wbrew przeciwną. malowanym fałszem ludzi, co toż samo czynią, a kłamią inne zasady, życie nie mogło być pasmem róż i lilij, musiało być ciężką przeprawą. Naturalnie wszyscy się mnie obawiali, brzydzili, odpychali, bom odsłaniał to co jest wielką tajemnicą wszelkiego rodzaju kuglarzów, zdradzałem sekrét rzemiosła. Nie byłem więc szczęśliwym, ale mam tę wyższość nad światem, że mnie nic nie łudzi, i ja nie łudzę nikogo.

— Czy się tylko pan sam nie łudzisz, przerwał Szwed, jest dużo złego na świecie, w sercu człowieka, ale to żywioł do przezwyciężenia nie do przymierza, byłżeś ze swą teorją szczęśliwym?

— Mógłbym o to samo spytać was, co macie wcale inne teorje, odpowiedział pargaminowy, byliżeście, jesteście z niemi szczęśliwi?

— Jesteśmy spokojni, zawołał Szwed, a ty nim nie jesteś, rozgrzeb popielisko swéj duszy, a znajdziesz trawiący ogień na spodzie.

Hrabia uśmiechnął się.

— Wasz spokój jestże bez zwątpień, bez obawy? wasza wiara jestże w zupełnéj zgodzie ze światem i jego ferworami? Ja sobie nic nie obiecuję, niczego się nie spodziewam, nauczyłem się gardzić prawie wszystkiem.

— Jest to odegrzana teorja pogan, epikurejczyków, stoików, przestarzała i odrzucona.

— Dawała przecie bohaterów, rzekł hrabia.

— Tak, dumnych zwycięzców boleści, obojętnych żebraków, szyderskich filozofów, żadnego dobroczyńcy ludzkości i anioła pociechy.

— Bałamuctwo! zawołał hrabia, bałamuctwo! rozumny człowiek idzie do treści życia, widzi jego nicość, rozeznaje co w niem głównem i rzeczywistem, odrzuca łupiny, chwyta ziarno.

Nie miałem, dodał po chwili, miłości u ludzi, alem się też o nią nie starał, bom w nią nie wierzył, miłość ludzka jest jednem z tych bałamuctw, któremi się stare dzieci bawią, ale w rachubie żywotnéj jest to cyfra dająca się sprowadzić do zera. Pomiędzy namiętnością zwierzęcą a szałem Platońskich marzeń, cichéj, spokojnéj, wytrwałéj miłości, próżno szukać. Czasem nałóg przybiera fizjognomią chorobliwéj miłości. Miłość potrzebowała ideału, i nie naszego świata, ideał dostaje ospy, starzeje, powszednieje, okulawiony, siwy, obraca się w łachman, w którym słabi mogą widzieć wspomnienie, ale kochać go nie potrafią, bo śmieci kochać niepodobna? Ogółu ludzi kochać nie ma za co, litować się nad nim można co najwięcéj, albo nim gardzić!

— Na Boga wykrzyknął Spauer z gorączką artysty, my pana prosiemy nie o jego teorje, ale o biografią! są to rzeczy których słuchać jest przykro, poniżają człowieka!

Hrabia ruszył ramionami.

— Moja biografja, jest ścisłem teoryi zastosowaniem, daję wam jéj treść w kilku słowach. W domu oprócz matki, która zapewne kochała mnie instyktem czysto zwierzęcym....

— A! a! zawołało kilka głosów, hrabia nie zmięszany ciągnął daléj.

— Oprócz matki, nienawidzili mnie wszyscy, oddawałem im to z lichwą, w szkołach byłem współuczniów postrachem i pośmiewiskiem, ale władza mnie broniła, bom naturalnie szukał siły aby się o nią oprzeć, i wybierał z dwóch potężniejszą. Przekonawszy się że mnie nie złamią, współtowarzysze poczęli się mnie obawiać, od chwili gdym kilkum dał naukę i pokazał że bezkarnie nad sobą znęcać się niepozwolę, zostałem swobodny. Nie miałem przyjaciół, ale mi o nich nie chodziło, przyjaźń jest zawsze handlem, w którym jeden drugiego oszukuje, jest to taka gra jak włoska *mora*, kto sprytniejszy, ten wygrywa. Ale po ukończeniu nauk wyszedłem ze szkół z gotową reputacją człowieka bez czucia, bez miłosierdzia, bez delikatności. Tego rodzaju sława nie jest bez niewygód, ale ma swą dobrą stronę. Gdy o gruszy powiedzą że owoce jéj są kwaśne, nikt jéj gałęzi niełamie, tak się stało ze mną, wyszedłem w pole walki, sam o własnych siłach, patrzano na mnie ze wstrętem, odsuwano się, ale mimo to, nieośmielano się napastować, byłem swobodny.

Panna Joly instynktem guwernantki, przesłuchawszy początku wyznań hrabiego, wzięła pod rękę młodą angielkę i uznała właściwem po cichu się z nią wysunąć nikt na to nie uważał.

— Po rodzicach, mówił spokojnie pan hrabia, odziedziczyłem zagmatwane resztki niegdyś bardzo znacznego majątku, zrujnowanego nieładem, rozrzutnością, niedbalstwem, wszelkiemi możliwemi środkami zniszczenia, ale to był zawsze materjał w którym pracować mogłem. Są ludzie co poczynają od niczego, zmuszeni wyrobić sobie kapitał swój obrotowy, jam miał w gruzach fortuny, gotowe narzędzie, wziąłem się więc do oczyszczenia tych stajen Augial'a, nie zląkłem się ani processów, ani krzyków, ani opinii ludzkiéj, trzymałem się ściśle prawa, nie wdając się w uczucia, które rachunki psują, poprawiło to znacznie moje położenie materjalne, a szerząc postrach w koło mnie, otoczyło murem, który od napaści bronił.

W tym czasie prawie, spotkałem się z kobietą, która mimo wszyskich zasad i pewników, które jako skazodrogi rozstawiłem przed sobą, dużo wpłynęła na moje losy. Była to bardzo piękna, bardzo płocha na pozór, ale bardzo praktyczna istota, nie miałem dla niéj najmniejszego szacunku, alem uczuł namiętność, była piękną. Nieszczęściem i ona i towarzysz jéj doli tak nieopatrznie szafowali życiem, że się zupełnie zrujnowali, w dodatku ona owdowiała, musiałem uciec aby nie paść ofiarą jéj, byłaby bowiem wymagała ożenienia i popchnęła mnie do ruiny. Uciekłem w porę, dla zajęcia czasu robiłem po troszę majątek.

Smiejcie się państwo jeśli chcecie, jedyna to siła w życiu, złoto....

Rozumiem pogardę dla niego w tych co go pozyskać nie mogą, ale to tarcza od wszelkiego złego, broń, narzędzie, dzwignia. Mimowolnie świat skłania głowę przed temi co je mają, wyśmiewa ich a zazdrości, ale mimowolnie ozłocone bałwany, jak ich ubodzy. zowią świecą nam podwojoną cnotą, ich występki nikną przy blasku fortuny, najniezależniejsi zawsze im cześć oddają. Jedno z dwojga, albo potrzeba być bogatym wzgardą wszystkiego jak Diogenes, albo mieć pieniądze, jest to balast życia, bez niego chwycą fale i rozbiją o skały. Starałem się o złoto, bo ono wiedzie do wszystkiego, daje wszystko, rządzi wszystkiem.

Spauer się wzdrygnął i ruszył ramionami, Szwed przerwał.

— Obrzydliwe głosisz pan teorje.

— Więc uwalniacie mnie? wybuchnął hrabia.

— Nie ja! przerwał vice-hrabia garbaty, mnie ta *assa faetida* smakuje.

— Rzecz bardzo oryginalna, zawołał Sir Price, bynajmniéj nie uwalniamy od dalszego ciągu, prosiemy oń, prosiemy, wszelkie przekonania szczere są godne szacunku.

— Szczere, ale nie bezwstydne, rzekł Szwed po cichu, choć i to może się przydać na coś, do zrodzenia obrzydliwości ku złemu.

— Dla tego złota, przyznaję się szczerze, postanowiłem sobie, mówił daléj szydersko hrabia, ożenić się. Ożenienie jest ciężarem, wkłada kajdany, to prawda, ale rozrachowałem sobie, że kobietę zawsze w końcu owładnąć można. Dziwnym trafem owa zrujnowana pierwsza miłość moja, była w posiadaniu bogatéj kuzynki, bardzo bogatéj, bardzo ładnéj, ale dziwnie zepsutéj pieszczotami i samowolnéj.

Weszliśmy z nią w targ, który naówczas zdawał się korzystny, a okazał późniéj nieszczęśliwym, młoda osoba była bardziéj zepsutą niżeli po jéj wieku i pozornéj łagodności, wnosić się godziło. Oszukałem się w swych rachubach, ale nie ma życia bez zawodów.

Ożenienie to zabrało mi zbyt wiele czasu, spokoju i zwichnęło życie. Nie miałem szczęścia podobać się młodéj osobie rozmarzonéj, przywykłéj do pochlebstw i ubóstwiań, nie byłaby nawet poszła za mnie, gdyby nie potrzeba w oczach świata zakrycia jakichciś pokątnych miłostek. Dla kogo innego nieszczęśliwem by być mogło może, podobne ożenienie, jam w przeszłości méj narzeczonéj, upatrywał nową siłę dla siebie, sądziłem że im więcéj jest upokorzoną, tem mi więcéj będzie uległą. Stało się wszakże inaczéj, włożyłem sobie powróz na szyję, któregom się nie spodziewał, rozpoczęła się od pierwszéj chwili walka między nami, w któréj wyznaję, bom szczery — zostałem zwyciężony. Tak jest, nie mogłem pokonać przeciwniczki mojéj, ale odegraliśmy dramat ciekawy. Użyłem wszelkich środków, wszystkie się o upór istnię kobiecy, rozbiły. Przypisuję to nie czemu innemu, tylko nieszczęsnéj słabości, muszę przyznać się żem głupio zakochał się w mojéj żonie, a miłość w niéj chciałem obudzić strachem, gwałtem, przemocą. Każde uderzenie dodawało jéj siły. Byłbym może zwyciężył ją obojętnością, nie podołałem uciskiem. W miarę jak ja szalałem i traciłem przytomność, ona oprzytomniała i rosła. Musiałem zapomnieć o wszystkich innych celach życia biegnąc za jednym, za pokonaniem tego dziwacznego charakteru, którego diamentowa niezłomność mnie drażniła.

— Niczego mniéj nie spodziewałem się nad wpływu kobiety w téj historyi, rzekł, śmiejąc się Meillerie, ale w któréjże biografii mężczyzny choćby tak zbudowanego jak pan hrabia, nie gra roli niewiasta?.... Zawsze Ewa i wąż.

— Tą razą, zawołał Spauer, nie wygląda to na raj, na Ewę i kusiciela.... Ewa była ofiarą. Daje się to przeczuwać z tego co nam hrabia o sobie powiedział, chciał ją widać nawrócić na swą wiarę, a to mu się udać nie mogło, kobieta ma więcéj od nas jeszcze poczucia ideału, obrzydliwości dla rachunku i nagiéj rzeczywistości.

— I uporu! i uporu! przerwał Hrabia... jest to znamię słabości.

— Przecież ta słabość silniejszą była nad stoicką siłę waszą, rzekł Spauer.

— Wielkiem nieszczęściem dla mnie było żem kłamać nie umiał, zawołał hrabia, z trochą chytrości byłbym ją zmógł i zwyciężył, wyrzucam sobie żem zawsze brzydził się fałszem, do mojego systemu, z moją pogardą dla ludzi, kłamstwo było nieodzownym dodatkiem, trzeba było odegrywać komedją jakąś, entuzjazmów, szałów, namiętności, jam tylko umiał szydzić i do naga rozbierać złudzenia.

(d. c. n.)